

POLSKIE DROGI

Radek Biczak

# Zielone wzgórza Ułan Bator

Opowieść o wyprawie do Mongolii



# Zielone wzgórza Ułan Bator



Radek Biczak

# Zielone wzgórza Ułan Bator

Opowieść o wyprawie do Mongolii

Redakcja  
*Elżbieta Spadzińska-Żak*

Projekt okładki  
*Marek J. Piwko*

Fotografia na okładce  
*Robert Churchill*

Fotografie we wkładkach  
*Radek Biczak*

Redakcja techniczna, skład i łamanie  
*Grzegorz Bociek*

Korekta  
*Laura Ryndak*

Wydanie I, czerwiec 2010

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35  
fax 32-348-31-25  
*office@videograf.pl*  
*www.videograf.pl*

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12  
*dystrybucja@dictum.pl*  
*www.dictum.pl*

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2012

**ISBN 978-83-7835-036-1**

*Kto ma skumać,  
ten skuma...*

*Istota karawany objawia się w marszu.  
Jeśli przepaść zagrozi jej drogę, okrąży przepaść;  
gdy wznosi się na drodze skała, wymija ją;  
gdy piasek staje się zbyt grząski,  
szuka gdzie indziej twardego gruntu,  
ale wciąż podejmuje poprzedni kierunek.*

ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY



## Marzenia

**M**arzenia mają wszyscy. Normalni i idioci. Dobrzy i niedobrzy. Bogaci i biedni. Marzenia są bardziej lub mniej realne. Marzenie w czystej formie jest naturalnym tworem przyrody. Bryłą, której dzięki konsekwencji, silnej woli i pracy potrafimy nadać pożądany kształt. Tylko wtedy marzenie jest już celem, do którego prowadzi plan realizacji. Zazwyczaj jednak spychamy nasze marzenia na margines codzienności. Drzemiamy sobie w lamusach umysłów i bywa, że prześpią całe życie nieniepokojone. Wtedy, przy końcu drogi, można powiedzieć: kiedyś wykluło mi się marzenie, ale chyba kiepsko je karmiłem – nigdy nie wzbiło się do lotu; cały swój byt przesiedziało na gałęzi żywota i zdechło ze starości...

Moje marzenia, chociaż rzecz jasna nie wszystkie, zaraz po wykluciu drą się wniebogłoso, a kiedy wreszcie wydaje mi się, że przysnęły na dłuższy czas, zupełnie niespodziewanie zrywają się do lotu, trzepoczą na oślep nieopierzonymi skrzydłami i lecą przed siebie. Bywa, że jest to długi i piękny lot, ale zdarza się także, że wyrzną o ziemię zaraz po starcie, a po drodze jeszcze zdążą nasrać mi na głowę. Moje marzenia są jak klątwy i czasami przychodzi ochota, żeby dusić zarazę w zarodku...

Wyprawa na Wschód pociągała mnie od dawna. W ręce same wpadały książki, które rozpałały wyobraźnię; przy piwie powszednim spotykałem ludzi, którzy byli na Wschodzie i roztańczali przede mną obrazy. Raz byli to hydrogeolodzy z To-



runia, którzy spłynęli pontonami mongolską rzeką Selengą, innym razem Romek Koperski, który z Zurychu do Nowego Jorku przejechał land roverem przez Syberię, a później, rozsmakowawszy się w tej krainie, spłynął pontonem po Lenie od jej źródeł do ujścia. Jakieś 10 lat temu wydawało mi się, że już wyruszę po swoją wschodnią przygodę – pewien literat z Torunia chciał zorganizować wyprawę do Mongolii, żeby na brzegu Selengi znaleźć miejsce przeprawy, gdzie utonął skarb z czasów wojny domowej w Rosji, ale na chceniu się skończyło. Wreszcie odrobinę się poszczęściło: zwiedziłem miasto trzech kultur – Królewiec-Königsberg-Kaliningrad, a później załapałem się na fantastyczny rajd pojazdami militarnymi szlakiem generała Maczka. Wiódł on z południowo-wschodniej Polski na Ukrainę. Te dwa łyki wschodu podsyciły tylko apetyt. Podobało mi się tam jak diabli i chciałem pojechać na dłużej!

Była połowa czerwca 2001 roku, pracowałem wtedy we wrocławskiej redakcji miesięcznika, który traktował o skarbach i przygodzie. Pewnego dnia zadzwonił do mnie Jarek Michalak, kumpel z Poznania, na co dzień specjalista od planowania przestrzennego, w wolnych chwilach poszukiwacz skarbów i militariów.

– Cześć, Radziu. Jedziemy z Maliną ładą nad Bajkał. Jedziesz z nami? – Bez zbędnego wstępu, ot, jak gdyby chodziło o weekendowy wypad na imprezę. Poznańskich poszukiwaczy znałem od dawna. Rok wcześniej mieszkałem krótko w grodzie Przemysława i niejedną wieczór upłynął nam wspólnie w knajpce „Pod Minogą”, gdzie po kilku piwach rodziły się różne pomysły. Malina, etnolog i bunkrowiec, miał już na koncie samochodową wyprawę do Maroka. Kilka razy uczestniczyłem w dysputach o podobnej eskapadzie na Syberię, nawet zgłosiłem swój akces i poparłem pomysł, ale wszystko toczyło się w błogim trybie przypuszczającym – niedokonanym, któremu towarzyszą niezobowiązujące westchnienia: *byłoby fajnie, zajebisty pomysł, konkretna misja* itp. Żadnych konkretów, które wskazywałyby, że luźna dyskusja zaowocuje czynami...

– Jadę z wami – odpowiedziałem bez zastanowienia, bo nie bardzo wiedziałem, nad czym tu deliberować. Umówiliśmy się na spotkanie w Poznaniu, w najbliższy weekend, i tak ruszyła wyjazdowa karuzela.

Naszym podstawowym celem był Bajkał, jezioro, które stanowi krainę samą w sobie, ale siedząc nad piwem i mapą Syberii, wystarczyło przesunąć spojrzenie na południe od Bajkału i już kilka centymetrów niżej rozciągała się granica z Mongolią... Czemu by nie wstąpić? – zapytał ktoś, a że przeciwwskazań nie było, to w kwadrans później nasza wyprawa dochrapała się szumnej nazwy: **SIBERIA – MONGOLIA EXPERIMENTATION**. Ustaliliśmy, że ruszamy w połowie lipca, więc na przygotowania zostały trzy tygodnie. Mnóstwo czasu na znalezienie, kupienie i przyszykowanie samochodu, załatwienie formalności wizowych, szczepień, zdobycie niezbędnych informacji, urlopów i gotówki. Czysty obłęd i kwintesencja improwizacji, ale kto powiedział, że bogowie nie sprzyjają szaleńcom?

Rolnik spod głogowskiej wsi nie starał się ukryć rozbawienia, gdy Malina powiedział, że jego wysłużona łada ma zawieźć trzech kolesiów do Mongolii.

– Widzisz pan, samochód jest wart swojej ceny, ale auto nie jest nowe – chłop najwidoczniej chciał żyć w zgodzie z własnym sumieniem – dlatego, dobrze wam radzę, przejrzyjcie wszystko, co się da, bo parę rzeczy trzeba poprawić...

Rolnik nie wiedział, że Malina w swojej bogatej karierze jeździł najchętniej dużymi fiatami kombi, o których pieśczołliwie mawiał fiatixy. Były to lepsze lub gorsze samochodowe padliny, które reanimował własnoręcznie z uporem godnym lepszej sprawy. Ładix na tle dotychczasowego parku maszynowego bunkrowca-etnologa nie wyglądał najgorzej. Wyprodukowana w 1983 roku łada model 2105 (w Rosji wszyscy będą ją nazywać po prostu *piatiorką*, czyli piątką) osiągnęła właśnie pełnoletność i zgodnie z naszymi założeniami miała być autem jednorazowego użytku. Chcieliśmy dojechać nią do Mongolii i tam sprzedać, ewentualnie porzucić. Powrót samochodem nie

wchodził w grę z wielu powodów, najważniejszym czynnikiem był czas – kolej transsyberyjska była sprawdzonym i przede wszystkim przewidywalnym środkiem transportu, natomiast ładix, cóż, jak w piosence: „wszystko się może zdarzyć...”.

Za ładę zapłaciliśmy 700 złotych. Wybór marki samochodu był bezdyskusyjny; kupno starej, osobowej łady nie rujnowało naszych skromnych budżetów, w Rosji była popularna jak niegdyś maluchy w Polsce, od początku liczyliśmy się z awariami i naprawami w trasie, dlatego priorytetem była dostępność części, które mogły być nam potrzebne niemal w każdym momencie wyprawy. Łada była podobna do dużego fiata, co pozwalało bazować na mechanicznym doświadczeniu Maliny i co również istotne – nawet w Rosji ładix nie powinien być postrzegany jako towar luksusowy, a w naszym interesie leżało, żeby w jak najmniejszym stopniu epatować dobrami doczesnymi...

Chociaż czasu było mało, poznaniacy podszkrywali ładixa, na ile mogli. Załatwili ubezpieczenie, przegląd i rejestrację, która do ostatniej chwili stała pod znakiem zapytania, bo zgodnie z przyjętymi terminami urzędu na normalne tablice rejestracyjne powinniśmy czekać miesiąc, ale dostaliśmy je w jeden dzień. Zaszczepiliśmy się przeciwko żółtacze i tężcowi, załatwiliśmy wizy do Mongolii, a nasze paszporty zostały przyozdobione pieczętkami AB. W Rosji turystyka indywidualna nie istnieje. Państwo, w którym pomimo pieriestrojki i głośności duch totalitaryzmu wyziera z wielu zakamarków, niechętnie godzi się z myślą, że mają się po nim szwendać ludzie bez nadzoru. Nie można powiedzieć, że Rosjanie zamykają granice przed turystami; nie są idiotami i doskonale zdają sobie sprawę, że turystyka to rozwijająca się gałąź gospodarki, dlatego wpuszczają inostranców\*, którzy muszą jedynie dostosować się do reguł gry. Voucher to słowo-klucz. Jest to imienny dokument wystawiony przez biuro podróży, potwierdzający zarezerwowane i opłacone wcześniej usługi. Teoria vouchera zakła-

---

\* *Inostraniec* – cudzoziemiec (wszystkie objaśniane w przypisach słowa obce pochodzą z języka rosyjskiego).

da, że turysta, który nawiedzi Rosję, jedzie w konkretne miejsce, w którym będzie zwiedzał to, co zaoferuje biuro podróży. Biuro podróży zapewni rejs po Bajkale, załatwi bilety do teatru czy na festiwal folklorystyczny, ale na pewno nie pozwoli oglądać biednych wsi i opuszczonych kołchozów. Zorganizuje czas tak, że turysta, wyjeżdżając z Rosji, będzie miał o niej takie zdanie, jakie mieć powinien. Pomysł tyleż dobry, co trudny do zrealizowania – wycieczkę autokarową można tak kontrolować, ale co z dwu-trzyosobowymi grupkami, z których każda chce zwiedzać coś innego? Jak potężna musiałaby być kadra w biurach podróży, żeby sprostać wymaganiom? Ile za takie usługi musiałby płacić turysta? Idea utopijna, która wprowadzona w życie i realizowana zgodnie z wytycznymi zamiast kontrolować inostranców, skutecznie odstraszyłaby od wizyty w Rosji. Rosyjskie biura podróży, podążając za wymogami wolnego rynku, błyskawicznie wyczuły voucherową koniunkturę; skoro władza żąda od turysty opłaconych i zarezerwowanych usług, które jednak nie są bliżej sprecyzowane, a większość turystów uważa, że to przymus, na który nie mają najmniejszej ochoty, to biuro podróży pobierze opłatę za wystawienie vouchera. Dokument potwierdzający usługi stał się usługą samą w sobie. Kompromis, który satysfakcjonuje wszystkie strony: władza może nie kontroluje tak, jak by chciała, ale jej wytyczne są respektowane, biura podróży mają dodatkowe źródło dochodu, a turysta kupuje voucher tak samo jak wizę – ot niezbędny, chociaż nic nieznaczący kawałek papieru.

W 2001 roku voucher turystyczny był w Polsce osiągalny, ale załatwienie dokumentu wymagało sporo zachodu, dlatego znaleźliśmy drogę na skróty. Dwie literki AB wbite do paszportu informowały rosyjskie służby konsularne i celne, że podróż ma charakter służbowy, a tym samym automatycznie eliminowały voucher. Na szczęście procedura załatwienia stempelka była banalna; w urzędzie wojewódzkim musieliśmy przedstawić pismo z pracy lub uczelni, że jedziemy do Rosji w charakterze służbowym. Nikt nie robił nam trudności, co najwyżej dziwio-

no się, że zamiast ruszać na Zachód, gdzie po otwarciu granic podążała większość Polaków, my próbujemy płynąć pod prąd.

17 lipca, w wigilię wyjazdu, zrobiliśmy pożegnalną imprezę w knajpie „Pod Minogą”. Znajomi, którzy wiedzieli o naszej eskapadzie, nie szczędzili nam dobrych rad, docinków i kpin. Ten, kto widział ładixa, prorokował, że dojedziemy co najwyżej do podpoznańskiego Swarzędza, inny zastanawiał się, jak daleko odjedziemy od granicy, zanim ruscy reketierzy\* zabiorą nam wszystko, co mamy. Jednak w głębi duszy każdy życzył nam powodzenia, a niektórzy nie kryli zazdrości – wszak kroili się Przygoda, której efekt końcowy pozostawał kwestią całkowicie otwartą.

---

\* Gangster drogowy, ściągający haracz z podróżnych.

## Falstart

**P**oczątek drogi nie miał w sobie nic wyjątkowego, może z wyjątkiem pożegnania z babcią Maliny, która obdarowała nas jakimiś wiktuałami, dewocyjnym breloczkiem i... wierszem:

Poznań – lato 2001 roku  
Dla Trójki Dzielnych Wędrowników

*Pojechali w świat młodzieńcy  
W poranek deszczowy –  
Pięknym wozem kolorowym  
Wozem terenowym.  
Serce się z radości rwało  
Gdy się na ten wóz patrzyło.  
O bunkrowcach i odkrywcach  
Miał napisy złoty wóz –  
Który w trójce wędrowników  
Dziennikarza z sobą wiozł.  
Więc wybrała się ekipa w świat  
Z miasta Poznania,  
A żegnała Ich strwożona  
Babcia Piotra – Jania.  
Z zatroskaniem i miłością  
Na Ich twarz patrzyła  
Ku obronie z Gwadelupy  
Matkę Bożą data*

*Babka Janina*

Mogliśmy się śmiać, ale jakoś nie wypadało, a Matka Boska z Gwadelupy załapała się na czwartego pasażera ładixa.

Na obrzeżach Poznania, w jednym z hipermarketów uzupełniliśmy braki w wyprawowym ekwipunku. Chińskie zupki, sosy w torebkach, konserwy, ryż, kasza, środki odstraszające komary i kilka innych drobiazgów, które wówczas wydawały się nam niezbędne. Obraliśmy kierunek na Koło i Kielce, miejsca, w których były jeszcze do załatwienia ostatnie sprawy tego świata.

Zaledwie cztery kilometry od startu ładix przypomniał nam, że jest niezwykle istotnym elementem naszej podróży. Skończyło się radio. Niby nic. Błahostka, ale było w niej zawarte przesłanie od ładixa: „kumple, pamiętajcie, nie jestem nowym autem i niemal w każdej chwili...”

Ściemniło się już, kiedy dobijaliśmy do Kielc. Malina smagał ładixem zupełnie rześko – 110 km na budziku, zostało ostatnie 20 kilometrów do pierwszego noclegu na trasie. Nagle, niemal jednocześnie, dotarły do nas trzy nienaturalne zjawiska – Malina zauważył, że straciliśmy transmisję i brakuje połączenia pomiędzy silnikiem a kołami, poczuliśmy smród palonej gumy, a gryzący dym zaczął wypełniać wnętrze samochodu! Ładix jeszcze dobrze nie wyhamował na poboczu, kiedy wyskakiwaliśmy z niego, żeby gasić pożar albo wiać jak najdalej. Ognia nie widzieliśmy, a dym wypełzający spod podwozia szybko się rozwiewał. Nie płonęliśmy, ale co to, kurwa, było? Najwięksi sceptycy, którzy prorokowali nam finał wyprawy w Swarzędzu, pomylili się o 350 kilometrów! Z gniazda tylnego mostu wysunęła się prawa półoś, ciekący z mostu olej zniszczył simmering, a koło szorowało o nadkole, wzbijając przy tym kłęby dymu. Nie wyglądało to ciekawie. Było późno, a uszkodzony element nadawał się tylko do wymiany. Malina zdjął szczęki hamulcowe, zabezpieczył przewody tak, żeby nie wyciekał z nich płyn, po czym wbił młotkiem półoś w przynależne jej miejsce i okulawionym ładixem doturlaliśmy się do najbliższego zagajnika.

Pierwszy biwak nie napawał optymizmem. Wprawdzie od początku zakładaliśmy, że mogą przytrafić się awarie, ale do

licha, nie myśleliśmy, że będą nas trapić już od startu. Nikt z nas nie dramatyzował, bo defekt był uleczalny, ale w powietrzu wisiało niewypowiedziane pytanie: dokąd zdołamy dojechać, zanim ładix rozpadnie się na dobre? W jaki sposób mamy przejechać 8000 kilometrów, skoro tuż pod domem zaliczyliśmy padaczkę? Deliberacje tego typu nie miały żadnego sensu, a mogły tylko wprowadzić zbędny defetyzm. Biorąc pod uwagę rodzaj, formę i cel podróży, mogła nas uratować tylko stoicka myśl przewodnia, pięknie oddająca rosyjską duszę: *поżywiом – увидим\**.

Pierwszy autoszrot w Kielcach zaspokoił naszą palącą potrzebę. Używana półoś kosztowała 50 złotych oraz blisko trzy godziny pracy Maliny, któremu mogliśmy z Jarkiem tylko asystować. Doraźny przegląd ładixa zaowocował naprawą świateł i sprawnym radiem. Od tego momentu Kazik Staszewski towarzyszył nam niemal codziennie ze swoją *Melassą* i El Dupą – całe szczęście, bez jego muzyczno-słownych abstrakcji mogliśmy popaść w paranoję.

Awaria została zażegnana. Malina popisał się sprawnością mechaniczno-manualną. Droga na wschód ponownie stanęła otworem. Zapomnieliśmy o swoich niedawnych obawach i ruszyliśmy w kierunku granicy polsko-ukraińskiej.

230 kilometrów dalej, tuż za Krasnymstawem, wypadło nam zatankować. Do granicy zostało niewiele, więc wialiśmy tyle benzyny, żeby dojechać tylko na drugą stronę. Różnica w cenie zupy była niebagatelna: za jednego dolara na Ukrainie mogliśmy kupić przeszło 3 litry benzyny, podczas gdy w Polsce za tę samą kwotę niecałe 1,5 litra!

Zalaliśmy robaka w ładzie; Malina wsiadł do samochodu, przekręcił klucz w stacyjce i nic. Kontrolki się wprawdzie zaświeciły, a rozrusznik kręcił, ale był to jedyny objaw życia ładixa. Silnik zapalić nie chciał. Co gorsza, nie mieliśmy pojęcia, co się mogło przytrafić. Łada dojechała na stację o własnych siłach, wcześniej nie przejawiała żadnych dolegliwości,

---

\* Pożyjemy – zobaczymy.



a teraz nie chciała zapalić. Zepchnęliśmy samochód na trawnik za stacją i w zapadającym zmierzchu próbowaliśmy zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Stało się dla nas jasne, że doszło do konfliktu interesów; my parliśmy na wschód, a ładix brocił się wszystkimi czterema kołami przed powrotem do ojczyzny. Licząc, że świt przyniesie nam rozwiązanie, zabiwakowaliśmy na stacji. Malina spał w samochodzie, ja wylądowałem na skwerku, a Jarek rozbił namiot po drugiej stronie drogi. Każdy osobno, każdy z własnymi myślami. Zasyślałem z sarkastycznym uśmiechem idioty na ustach. Na co właściwie liczyliśmy? Że auto, które warte było recyklingu, sprosta nie lada próbie tylko dlatego, że my tego chcieliśmy? Przejechaliśmy dwa dni i 600 kilometrów, a złapaliśmy drugą poważną awarię. Nie trzeba było wyższej matematyki, żeby wyliczyć obłądną średnią tych czynników. Nie zmierzyliliśmy sił na zamiary. W tym momencie Bajkał i Mongolia były dla mnie równie odległe, jak załogowy lot na Marsa.

Malina to człowiek myślący. Obojętnie, czy jest to etnologia, poszukiwanie niemieckich czołgów, czy mechanika samochodowa, zawsze stara się rozwikłać przyczyny i znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Na szczęście zwykle mu się udaje. Rankiem, na stacji benzynowej, gdy samolubnie starałem się skombinować poranną kawę, Malina roztrząsał techniczne zagadnienia radzieckiej myśli technicznej. Utyłane w smarze ręce wertowały kolejne strony książki: *Sam naprawiam ładę*. Lektura była owocna. Kumpel stwierdził stanowczo, że to może być tylko pasek, odłożył literaturę i zabrał się za rozrząd. Nie pomylił się, skubaniec; w roześmianym sowieckim pasku rozrządu brakowało czternastu zębów! Nie trzeba eksperta mechaniki, żeby wiedzieć, co mogło spotkać silnik pracujący na takim pasku: zniszczone zawory, pogięte popychacze, wymiana lub remont głowicy silnika... Był tylko jeden sposób, żeby zrobić bilans strat – założyć nowy pasek.

Malina pojechał autostopem na zakupy do Krasnegostawu, a my cierpliwie znosiliśmy palące promienie słońca i nie mniej

palące spojrzenia tankujących kierowców, których przyciągała upstrzona różnobarwnymi napisami łąda. Szumna zapowiedź: „Siberia – Mongolia Expedition” w tym momencie zakrawała na kiepski żart, ale miałem nadzieję, że przynajmniej części kierowców przyjdzie do głowy myśl: pewnie już wracają...

Wymiana paska, regulacja zaworów i odrobina kosmetyki trwały do 16.30, ale wszystko zdawało się być w porządku\*. Z pewną dozą niepewności ruszyliśmy w stronę granicy. Bilans mieliśmy ujemny; dwa dni podróży i dwie poważne naprawy. Jutro powinna być następna, ale to jutro miało nadejść pod ukraińskim niebem, co przynajmniej pozwoliłoby nam mówić, że opuściliśmy granicę RP.

Na przejściu granicznym w Dorohusku wzbudziliśmy zrozumiałą sensację. Dla znudzonych przemytników i celników byliśmy urozmaicheniem w ich codziennym trudzie. Pytania „gdzie, jak i po co” syptały się zewsząd, a mrówki wożące na co dzień wodę i papierosy ze wschodu były w stanie postawić ostatnią koszulę, że nie dojedziemy, bo auto się rozsypie, ubiją nas reketierzy, zaaresztują milicjoniery... Gdzieś to już słyszeliśmy i pewnie było w tych docinkach sporo racji, ale w imię honoru musieliśmy się pchać na wschód do ostatniego obrotu kół łądixa. Dopóki sami nie uznamy, że nie damy rady, napotkani ludzie mogli mówić to, co im się żywnie podobało – nie miało to na nas żadnego wpływu.

Ukraiński celnik, widząc nietypowych klientów, mniej interesował się zawartością auta, a bardziej imperatywem, który pcha nas do Mongolii.

– Powiedzcie, po co wy właściwie jedziecie do tej Mongolii? – indagował Ukrainiec.

– Jedziemy poznać mongolską kulturę – w Malinie obudził się etnolog.

---

\* W większości silników samochodowych nie obyłyby się bez strat, ale nie w łądzie 1300, w której komora spalania jest tak skonstruowana, że tłoki nie dochodzą do wysuniętych cylindrów (dlatego cylindry nie ucierpiały, pomimo że rozrusznik kręcił silnikiem).

– Jaka tam kultura? Oni, kurwa, nawet normalnego wielbłąda nie mają...

Dostaliśmy trzydniową wizę tranzytową i naprawdę byliśmy szczęśliwi, że dotarliśmy chociaż do Ukrainy. Bajkał i Mongolia nadal pozostawały tak odległe, jak mistrzostwo świata w piłce nożnej dla Polaków. Przesadziłem – mimo wszystko my mieliśmy jakąś szansę...